

3.04. 2016. Artykuł w Trójmiasto.

<http://kultura.trojmiasto.pl/Nigel-Kennedy-rozpalił-publicznosc-do-czerwonosci-n100328.html#tri>

Autor: Ewa Palińska.

Nigel Kennedy rozpał publiczność do czerwoności



W sobotni wieczór Nigel Kennedy wystąpił w Starym Maneżu z towarzyszeniem Cappelli Gedanensis i zespołu jazzowego. Fot. Łukasz Głowala/Trojmiasto.pl

Po Nigelu Kennedym chyba nikt nie spodziewał się, że zagra grzeczny i standardowy koncert. Brytyjski skrzypek i tym razem nie zawiódł fanów, którzy w sobotni wieczór wypełnili Stary Maneż do ostatniego miejsca - był ekscentryczny, zabawny, rubaszny, wręcz wulgarny, ale przede wszystkim genialny! Wspólnie z akompaniującą mu Cappellą Gedanensis oraz zespołem jazzowym zaserwował słuchaczom niezwykle energetyczne show pokazując, że nawet tak ograne arcydzieło jak "Cztery pory roku" Antonia Vivaldiego można zaprezentować w zupełnie nowej, fascynującej odsłonie.

Kiedy Yehudi Menuhin brał Nigela Kennedy'ego pod swoje skrzydła z pewnością nie przypuszczał, że wyrośnie on na największego punka wśród klasycznie wykształconych skrzypków. Brytyjski wirtuoz za nic ma sobie konwenanse i filharmoniczny savoir vivre. Od wielu lat robi na scenie wyłącznie to, na co ma ochotę. Zamiast tradycyjnego fraka woli występować w koszulce klubowej ukochanej drużyny Aston Villa, a zamiast przemyślanej konferansjerki mówić to, co ślina na język przyniesie. Jest jednak coś, dzięki czemu nawet najbardziej konserwatywni melomani wybaczą mu tę "nieobyczajność" i ekscentryczność - Kennedy jest wielkim artystą, wirtuozem, któremu kunsztem dorówna niewielu i właśnie artyzm oraz perfekcję wykonania stawia na pierwszym miejscu.

Nigel Kennedy zdejmuje muzykę klasyczną z piedestału. Już sam wybór Starego Maneżu a nie na przykład filharmonii na miejsce koncertu, wydał się wielu słuchaczom dość niezrozumiały. Przynajmniej do czasu, kiedy na scenie pojawił się Kennedy. Otwierając koncert solówkę potraktował jako rozgrzewkę, dając jednocześnie późnialskim czas na zajęcie miejsc. W pierwszej chwili budziło to konsternację - przy Bachu kupować piwo w barze? Trzaskać drzwiami? I to za zgodą a wręcz sugestią gwiazdy wieczoru? Jak tu wsłuchiwać się w wir-

tuozerskie przebiegi, realizowane w dodatku taką precyzją i artyzmem, skoro ludzie dookoła rozmawiają? Wielu artystów zeszkoby ze sceny i przerwało koncert w takich warunkach. Ale nie Nigel Kennedy - on tej spontaniczności słuchaczy wręcz oczekiwał.



Nigelowi Kennedy'emu nie przeszkadza luźna atmosfera na widowni podczas koncertów. Przeciwnie - sam prowokuje słuchaczy do spontanicznych zachowań a w przerwie odsyła do baru. Fotoreporterów jednak na koncercie sobie nie życzył, ponieważ koncert to uczta wyłącznie dla wykonawców i publiczności. Zdjęcie zostało zrobione podczas próby medialnej. fot. Łukasz Głowala/Trojmiasto.pl

Kiedy zwracał się do słuchaczy, chciał ich widzieć, dlatego zażyczył sobie włączenia świateł na widowni. Zresztą do wielu z nich zwracał się personalnie, czym dodatkowo zaskarbił sobie sympatię. Jego konferansjerka nasuwała analogię do stand - upu i to niekoniecznie najgrzeczniejszego. Było w niej sporo dwuznaczności, wulgaryzmów, ale przede wszystkim spora dawka angielskiego poczucia humoru. Publiczność była rozbawiona do łez!

W pierwszej części dwupółgodzinnego show zabrzmiały kompozycje z repertuaru Kennedy'ego, m. in. przepiękne "Melody in the Wind" zagrane w duecie z koncertmistrzem Cappelli Gedanensis, **Przemysławem Mazurem**. Gdańscy specjaliści od wykonawstwa historycznego okazali się dla brytyjskiego wirtuoza godnym partnerem. **Cappella Gedanensis** została do tego koncertu znakomicie przygotowana, dzięki czemu muzycy mogli pozwolić sobie na luz, spontaniczność i zabawę muzyką. Wielkie brawa dla pań wiolonczelistek, które energia wprost roznosiła!

W części drugiej zabrzmiały tak wyczekiwane przez słuchaczy "Cztery pory roku" Antonia Vivaldiego. To była prawdziwa uczta dla ucha! Nigel Kennedy wplótł w swoją interpretację elementy jazzu, muzyki latynoamerykańskiej, arabskiej czy rocka, w kadencjach przemycił motywy popularnych piosenek, od "God Save the Queen" po "We Wish you a Merry Christmas". Z każdym z instrumentów koncertujących prowadził sugestywny dialog, z każdym z nich wchodził w głęboką relację. Wielu recenzentów podkreśla, że Kennedy ma w zwyczaju grać tyłem do publiczności, podczas gdy on po prostu chce być zwrócony twarzą do muzyków, aby wejść z nimi w głębszą interakcję. Jak mieliśmy okazję przekonać się podczas sobotniego koncertu, przekłada się to na znakomity efekt finalny.



W części drugiej zabrzmiały tak wyczekiwane przez słuchaczy "Cztery pory roku" Antonia Vivaldiego.

Czy Vivaldiemu spodobałaby się ta interpretacja? Z pewnością. W jego czasach zapis nutowy był jedynie punktem wyjścia dla wykonawców i dopuszczał nieskończoną ilość możliwości interpretacyjnych. Nie jestem tylko przekonana, czy "Rudemu Księdzu" spodobałoby się opatrywanie zarówno jego nazwiska jak i tytułu jego arcydzieła przedrostkiem "motherfucker", co Kennedy'emu podczas koncertu zdarzało się nagminnie.



Zakończenie koncertu było niezwykle energetyczne. Nigel Kennedy oraz gitarzyści zamienili swoje instrumenty na elektryczne odpowiedniki i rozgrzali publiczność do czerwoności, m. in. brawurową interpretacją "Crosstown Traffic" Hendrixa. Publiczność była zachwycona i nagrodziła wykonawców zasłużoną owacją na stojąco.

Nigel Kennedy jest artystą niezwykle ekscentrycznym, ale nie mamy wyjścia - jeśli chcemy delektować się wykonywaną przez niego muzyką, musimy zacisnąć zęby i przystać na

proponowane przez niego warunki. Nie ukrywam, że nie słuchało mi się zbyt komfortowo przejmującej kantyleny w "Czterech porach roku", kiedy za moimi plecami trzaskały drzwi, a barmani głośno się zachowywali. Z drugiej strony, mieliśmy okazję uczestniczyć w czymś, co się już nigdy więcej nie powtórzy - Nigel Kennedy nie gra nigdy dwóch identycznych koncertów.